

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI
MAGAZYN BEZPŁATNY
ISSN 2299-6273

#21

MiC

MUZYCZNY INFORMATOR CULTURALNY

Sen na Javvie / Podsumowanie muzyczne
Sampler: Nick Cave & The Bad Seeds

2019




ŁĄCZYMY
KONCERTOWO



spis treści

MUZYCZNY INFORMATOR CULTURALNY #21

Narodowego Centrum Polskiej Piosenki



Wstępniak <i>str. 5</i>	
	● Shorty Newsy, plotki, ploteczki <i>str. 6</i>
Sen na Javvie <i>str. 8</i>	
	● Sampler <i>Nick Cave & The Bad Seeds – Hollywood</i> <i>str. 11</i>
Galeria <i>str. 14</i>	
	● Podsumowanie muzyczne 2019 <i>str. 16</i>

MIC w formacie PDF do pobrania również na naszej
stronie internetowej www.ncpp.opole.pl

JULIA MARCELL

17.04 |
SALA
KAMERALNA
NCPP



Narodowe
Centrum
Polskiej
Piosenki

// Wstępniak



Święta, święta i po świętach, rok 2019 minął, styczeń w pełni, a przed nami piękny, nowy i zupełnie niewiadomy rok 2020. Jaromír Nohavica w *Cieszyńskiej* o wieku XX pisał, że czasem lepiej, że człowiek nie wie, co go czeka, więc przewidywania sobie darujemy, w zamian natomiast w najnowszym MIC-u rozpisujemy się o przeszłości. A jako że stałą rubryką w noworocznych wydaniach jest zestawienie albumów, które naszym zdaniem warto polecić, mamy tego dla Was sporo. Zarówno w Polsce, jak i reszcie świata wydawane jest mnóstwo dobrej lub nawet rewelacyjnej muzyki, właściwie główny problem polega nie na tym, jak znaleźć „tę ulubioną piątkę”, ale jak ogarnąć całe zjawisko. Klęska urodzaju to chyba najlepsze określenie. Czynników jest rzecz jasna bardzo dużo, ale na czoło wysuwa się tu oczywiście technologia, która stosunkowo łatwo pozwala tworzyć muzykę i się nią dzielić, a co za tym idzie – obserwującym zjawisko umożliwia zagłębienie w muzyczne rejony,

które jeszcze kilkanaście lat temu były trudno dostępne lub zupełnie niedostępne.

Ale spokojnie, nie tylko podsumowaniami najnowszy numer MIC-a żyje: są oczywiście shorty, przyglądniemy się wnikliwie ostatniemu albumowi Nicka Cave’a, a za pomocą zespołu Javva postaramy się odpowiedzieć na pytanie, co Bydgoszcz może mieć wspólnego z Saharą.

Miłej lektury!

Marek Szubryt



Planowanie poziom ekspert

Dolly Parton nagrała mnóstwo albumów i na stałe wpisała się w kulturę zarówno USA, jak i reszty świata. Ale okazuje się, że to nie wystarczy, bowiem jak zdradziła w podcaście pt. *Dolly Parton's America*, przygotowuje masę muzyki, która będzie mogła być publikowana po jej śmierci. Napisała: „Mam mnóstwo materiału, który mógłby być grany w nieskończoność, kompilowany lub przetwarzany tak, by powstawały rzeczy nowe. Celowo staram się zapisywać jak najwięcej piosenek, żeby linia melodyczna i wokale były gotowe pod aranżacje, które kiedyś powstaną”. Nie wiadomo teraz tylko, czy życzenie zdrowia i stu lat nie zabrzmiałyby ironicznie...

Marek Szubryt



Bez nieporozumień

Członkowie zespołu Nirvana pozostają w dobrych relacjach, czego dali dowód, występując wspólnie na koncercie charytatywnym w Hollywood, gdzie wykonali pięć piosenek z repertuaru legendarnego zespołu. Pewnie jesteście ciekawi, kto przy mikrofonie zastąpił nieodżałowanego Kurta Cobaina? Już spieszymy donieść, że byli to: Beck, St. Vincent oraz córka Dave'a Grohla, Violet.

Rafał Czarnecki



Niespotykane zwyczajny człowiek

Ozzy Osbourne nie przestaje zaskakiwać. Jeszcze kilka dni temu świat obiegła plotka o fatalnym stanie jego zdrowia, by następnego dnia ujrzała światło dzienne informacja, że pod koniec lutego odbędzie się premiera nowego albumu artysty, na który zaprosił kilku znajomych. Na *Ordinary Man* wystąpią ot, tacy sobie, po prostu goście: Elton John, Tom Morello, Post Malone, Slash, Chad Smith czy Duff McKagan. Pytanie tylko, czy to pokaz siły czy album pożegnalny.

Marek Szubryt

// **Shorty** Newsy, plotki, ploteczki



Rok muzycznych biografii?

Rok 2019 zostawił nas z filmowymi biografiami Freddiego Mercury'ego i Eltona Johna. 2020 jeszcze na dobre się nie rozpoczął, a już słychać, że ma powstać film opowiadający o początkach drogi artystycznej Boba Dylana, którego zagrać ma Timothée Chalamet (znany choćby z *Tamte dni, tamte noce* czy *Mój piękny syn*). A to z pewnością nie koniec eksploracji przez przemysł filmowy tematu życia znanych muzyków. Oby tylko za tą produkcją, która z pewnością zainteresuje zarówno kinomanów, jak i fanów muzyki, szła jakość artystyczna. Czego Wam i sobie życzymy.

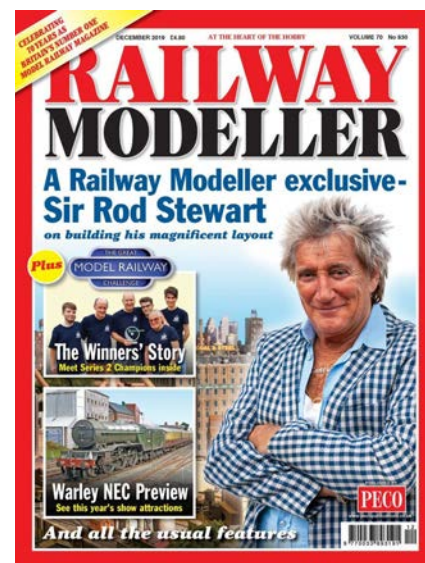
Rafał Czarnecki



Dobranoc, Snoop na noc

Jeśli jesteście świeżo upieczonymi rodzicami, a Wasz kochany „bąbelek” okazuje się umiarkowanie łaskawy i wszelkie próby usypiania przypominają pracę saperską na poligonie, nie traćcie nadziei. Z odsieczą nadciąga nieoceniony Snoop Dogg. Nie, nie chodzi o zastosowanie ziołowych inhalacji. Jego wysokość wydała właśnie płytę z kotysankami! A w zasadzie wersję swoich największych bangerów spreparowanych tak, aby latorośl mocno wyluzowana odpłynęła do krainy Morfeusza. Good night and good luck.

Michał Mościcki



Niezły model

Po udzieleniu niezwykle obszernego wywiadu Sir Rod Stewart po raz kolejny trafił na okładkę magazynu. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że nie mówimy tu o „The Sun” czy choćby „Rolling Stone”, ale o arcyważnym periodyku „Railway Modeller”, w którym to gwiazdor opowiada, jak przez 26 lat budował... ogromny model kolejki elektrycznej. Całość wygląda imponująco, znajdziemy tu fragmenty architektury Chicago, Nowego Jorku i rodzinnego Glasgow, a znaczna część konstrukcji powstawała podczas tras koncertowych. Mocny odjazd.

Michał Mościcki

//Sen na Javvie



ilustracja: Dawid Ryski

Jedna z lepszych polskich płyt mijającego roku, na której granie zwane gitarowym łączy się z brzmieniem północy Afryki. W skrócie: rytm, riff, groove i melodia, a do tego odważna produkcja oraz świetna okładka. Javva to czy sen?

Peany ze wstępu są w pełni uzasadnione, bo oto na nieco zastanym czy może nawet lekko zatęchłym polskim rynku muzyki gitarowej pojawił się zespół, który wniósł powiew świeżego powietrza. Wiatr to ciepły, znad Sahary i okolic, co jest zresztą elementem wyróżniającym zarówno grupę, jak i debiutancką płytę. Javva, bo taką nazwę przyjęli czterej średnio młodzi, by nie powiedzieć: lekko starsi panowie, to zbiór doświadczonych muzyków, których można śmiało nazwać „alternatywną supergrupą”, gdyby określenie to nie należało do ryzykownych, dla jednych będąc oksymoronem,

a dla drugich – obelgą. Tak czy inaczej na przyozdobionym okładką autorstwa Dawida Ryskiego *Balance of Decay*, debiutanckim krążku Javvy, mamy do czynienia z graniem, którego w Polsce dotąd ze świecą szukać.

Lista płac

Określenie „alternatywna supergrupa” jest jednym z moich „ulubionych”, wyprzedza je jedynie zwrot crossover przy opisie Lao Che w Wikipedii, ale tym razem używam go z premedytacją, ponieważ w skład Javvy wchodzi muzycy, którzy na rodzimej scenie tworzyli po kilka istotnych lub wręcz kluczowych zespołów z kręgu muzyki gitarowo-alternatywnej. Grający na perkusji Bartek Kapsa to w przeszłości Something Like Elvis i Contemporary Noise Quintet, odpowiedzialni kolejno za śpiew i klawisze oraz bas i chórki Łukasz Jędrzejczak i Mikołaj Zieliński związani są m.in. z T'ien lai i Alamedą, by wymienić wreszcie Piotrką Bukowskiego grającego w Javvie na gitarze, ale tworzącego również zespoły Hokei, Xenony czy Oplę. Piszę o tym dlatego, że jeśli przyjrzymy się dorobkowi każdego z muzyków, od razu jasne się staje, że panowie za łatwe, proste i przyjemne piosenki się nie biorą, a zespoły, do których należą, zaliczyć można do miana wymagających i poszukujących. Stąd też określenie *supergrupa* wydaje się podwójnie ryzykowne, zazwyczaj w takim przypadku mamy bowiem do czynienia z muzykami powszechnie znanymi, wywodzącymi się z zespołów o masowej popularności, którzy postanowili stworzyć mniej lub bardziej udany cyrk do zarabiania pieniędzy. Nie trzeba być przesadnie wtajemniczonym, by wiedzieć, że paranie się muzyką alternatywną czy nazywaną także undergroundową w Polsce nie tylko nie należy do wyjątkowo dochodowych, ale hartuje również charakter, ducha i portfel artysty. Drugim powodem jest z reguły miękkość dorobku takowych supergrup: zazwyczaj mamy do czynienia ze średnio udanym lub nawet sztucznie zlepionym materiałem nagrany przez kilka indywidualności, który od momentu poczęcia służy jedynie do zarobienia



dotychczasowych pieniędzy w trasie koncertowej (o ile wcześniej twór sam się nie weźmie i nie rozpadnie), a nie ze zgranym zespołem. W przypadku Javvy oba te czynniki wydają się nie mieć miejsca, a na pierwszy plan szczęśliwie wychodzi muzyka.

Rytm, riff, groove i melodia

Jeśli muzykę Javvy trzeba by zawrzeć w kilku żołnierskich słowach, to te z powyższego tytułu nadają się jak ulał. Na *Balance of Decay* królują specyficzny rytm i meandrujące melodie, które razem tworzą mieszankę klasycznej, nazwijmy to, zachodniej postrockowej muzyki gitarowej, z afrobeatem i tzw. muzyką pustyni znaną spod znaku np. Tinariwen, Bassekou Kouyate czy Ali Farka Touré. Rytm tak odległy od sztafetu rockowego grania czy, z drugiej strony, charakterystycznego dla zachodniego słuchacza mathrockowego przekładańca, który w ekwilibrystyczny i policzony sposób z rozmysłem gmatwa, jest tutaj kluczowy. I nie chodzi tylko o rolę perkusisty, choć oczywiście ukłony Bartkowi Kapsie się

należą, ale o cały zespół, bowiem to partie wszystkich instrumentów podążają euforycznie za rytmem, a nie odwrotnie. Przeplatanie się i pulsowanie gitary z basem, klawiszami i perkusją, połączone dodatkowo z wokalem i przestrzennym brzmieniem od razu przywodzi na myśl muzykę z Mali czy pustynnej Sahary, a nie z Bydgoszczy i okolic. Należy jednak też dodać, że – bądź co bądź – zespół pochodzi jednak ze środkowo-wschodniej Europy, toteż gorące poddmuchy wiatru i gwiazdzone niebo pustyni zostały na *Balance of Decay* skutecznie przetworzone przez pochmurne i deszczowe oraz wcale nie tak ciepłe cztery pory roku. Owe taneczność i puls, które bez dwóch zdań na albumie występują, zostały zmiksowane z kwaśnością i chłodem, które znać można chociażby z wcześniejszych dokonań muzyków. Nie jest to żaden zarzut, wręcz przeciwnie, zamiast imitacji znanej w naszym kraju tak dobrze np. muzyki bałkańskiej czy żydowskiej, mamy do czynienia z udaną próbą adaptacji odległych dźwięków na własne potrzeby, czyli inspiracją i wykorzystaniem w celu stworzenia własnego brzmienia, a nie odgrywaniem w sposób wygładzony i trochę „po naszymu” tego, co



MILIEU L'ACÉPHALE

dobrze znane za granicą. Jeśli jesteśmy przy brzmieniu, warto także wspomnieć o nagraniach, które zrealizowane i zmiksowane zostały bardzo przestrzennie. Niezależnie na jakim sprzęcie słuchamy płyty, na plan pierwszy wychodzą oddech i wspomniana wcześniej przestrzenność właśnie, dające poczucie, jakbyśmy mieli do czynienia z – choć jest w tym trochę przesady, ale to chyba najlepsze określenie – zapisem koncertu klubowego granego na żywo. Nie jest to klasyczna studyjna realizacja „na setkę”: z biglem, ale wymusкана, gdzie każdy instrument może być zawsze dobrze słyszalny, ale materiał jakby z małego klubu, gdzie wraz ze wzrostem euforii i dynamiki pewne niuanse przestają być tak wyczuwalne, zlewając się w jedną, ale za to pulsującą całość. Rozwiązanie to znajdzie pewnie zarówno miłośników, jak i przeciwników, ale piszącemu te słowa bliżej do pierwszej grupy.

Oko metaforą wolności

Warto wreszcie kilka słów powiedzieć o środowisku muzycznym, z którym muzycy są związani. Milieu L'Acéphale to wydawnictwo, ale przede wszystkim grupa ludzi powiązanych luźną ideą, którą można zawrzeć w słowach: otwartość, wolność i dowolność tworzenia oraz inspiracja. Jak sami piszą: „interesuje nas sztuka surowa, stworzona z dala od głównego nurtu, otwarta i niedokończona, zrodzona z improwizacji, lecz zmierzająca ku kompozycji, bezkompromisowa, lecz nie ekskluzywna, intuicyjna, a nie konceptualna”. Swoją nazwę środowisko wzięło od francuskiego pisarza i filozofa, ale także awanturnika i obrazoburcy, Georges'a Bataille'a, który w latach trzydziestych założył czasopismo i tajne stowarzyszenie pod nazwą Acéphale właśnie, co przetłumaczyć można jako bezgłowy lub

zdekapitowany. O tej grupie artystów i naukowców więcej jest domysłów i niedopowiedzeń niż faktów, ale pewne jest, że skupiała ona ludzi zafascynowanych lub chcących badać obrzędowość i rytuały (kultywowano m.in. niepodawanie ręki antysemitom i faszystom, a podczas obowiązkowo tajnych spotkań celebrowano ścięcie Ludwika XVI), studiując przy okazji teksty i myśli m.in. Nietzschego, Freuda czy de Sade'a. Postać Bataille'a wydaje się tu kluczowa, bo jest on także autorem „Historii oka”, wydanej w latach trzydziestych książki dziś zaliczanej do nurtu literatury transgresyjnej, a wtedy traktowanej często jako grafomański zbiór perwersji. Tytułowe oko, będące także logiem bydgoskiego wydawnictwa, związane jest nie tylko z wojeryzmem, co w przypadku sztuki erotyczno-perwersyjnej jest jedną z podstawowych figur, ale także – lub w tym przypadku przede wszystkim – jednym ze środków zaspokojenia żądzy głównego bohatera, który wspomina swoje najróżniejsze wyczyny z młodości. Powieść Bataille'a traktowana była, zależnie od środowiska i czasów, z odrazą, pobłażaniem lub – rzadziej – z uznaniem. Ale jeśli przyjrzymy się rozwojowi tej części kultury francuskiej, idąc od de Sade'a, przez Bataille'a właśnie, a kończąc np. na naszym rodaku Walerianie Borowczyku, który dopiero na emigracji we Francji miał możliwość zapisać się w historii kina, słowa *nieskrępowanie* i *wolność* wydają się kluczowe. Na marginesie: w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Borowczyk oczywiście może nie przy pełnej aprobacie, ale jednak bez większych problemów mógł tworzyć we Francji swoje bazujące m.in. na miksie erotyki i perwersji kino. Nie dowiemy się już tego, ale nie tylko dlatego bez odpowiedzi zostawiam pytanie, czy w teraźniejszej Polsce artysta mógłby bez większego problemu nakręcić, a potem puszczać np. *Bestię* w polskich kinach? Bydgoskie Milieu L'Acéphale, hołdując idei nieograniczonej wolności i wzajemnej inspiracji, zrzeszające także muzyków z bliższych i dalszych okolic, wydaje się jednym z ciekawszych środowisk muzycznych w Polsce. Mamy fenomen sceny gorzowskiej, było Trójmiasto, Warszawa – wiadomo, Kraków, Śląsk i Zagłębie co jakiś czas też dadzą o sobie znać, ale to właśnie Milieu L'Acéphale, które w sferze wydawniczej współpracuje zresztą z krakowskim Instant Classic, wyrasta powoli na lidera i jest jednym z ciekawszych miejsc na muzycznej mapie Polski.

Marek Szubryt



// *Sampler*
**Nick
Cave
&
The
Bad
Seeds**
Hollywood

Sławomir Kuźnicki

14 lipca 2015 roku Arthur, 15-letni syn Susie Bick i Nicka Cave'a, spadł z prawie 200-metrowego klifu nieopodal Brighton i zginął na miejscu. Świadkiem zdarzenia był jego brat bliźniak, Earl. Nick Cave & The Bad Seeds rozpoczęli wtedy proces komponowania i nagrywania nowej płyty. Po tragicznym zdarzeniu Cave postanowił nie przerywać pracy, by w niej szukać jakiegoś kojącego odrętwienia. Rezultat to chyba najmroczniejsza, najbardziej bolesna płyta (nie tylko rockowa) świata – *The Skeleton Tree* (2016). Jednak myliłby się ten, kto w jej publikacji widziałby zamknięcie tego tematu. Na początku października 2019 roku Nick Cave & The Bad Seeds powrócili z nowym albumem, zatytułowanym *Ghosteen*, którego warstwę tekstową – nierozzerwalnie powiązaną z muzyczną – stanowią tylko wiersze, które Cave napisał po lutym 2017 roku (wcześniej przez kilka miesięcy nie przelał na papier ani jednego słowa).

I co? I okazuje się, że są rany, które tak po prostu się nie goją. To prawda, czasami boli jakby trochę mniej, ale za to kiedy indziej o niebo bardziej. *Ghosteen* jest płytą jeszcze mocniej naznaczoną nie tyle samą tragiczną śmiercią syna, co ciągle trwającą żałobą, która – pomimo upływającego czasu – nie przestaje być soczewką, przez którą Cave patrzy na świat i na siebie w nim. *Ghosteen* to najważniejsza i najlepsza płyta 2019 roku, ale płyta niełatwa, niebiorąca jeńców: ból, o którym śpiewa Cave, przechodzi na nas i, na ile to możliwe, staje się naszym integralnym doświadczeniem. Stąd słuchanie tej płyty jest również dla nas procesem ze wszech miar bolesnym, ale ważnym i koniecznym.

Kończące całość *Hollywood* to nie tylko moment kulminacyjny tej podwójnej płyty, ale też najbardziej rozdzierający i emocjonalnie dewastujący utwór, jaki słyszałem od wielu lat; to być może najbardziej wstrząsająca piosenka, jaką Cave kiedykolwiek stworzył i zaśpiewał. To ponad 14-minutowe epitafium dla nadziei, miłości i spokoju ducha. Wolno krocząca pieśń pogrzebowa człowieka, który nie ma nic do stracenia, bo wszystko już stracił, a teraz miota się pomiędzy zaakceptowaniem tego, co jest, pytaniami o to, co mogłoby być, a niedającą mu chwili wytchnienia perspektywą przyszłości, która – niezależnie od tego, jak mocno by tego chciał – nie przyniesie mu pogodzenia czy ulgi.

I jeszcze ta końcówka pieśni: z Cave'em śpiewającym falsetem, otwierającym się przed nami jak chyba nigdy dotąd, budującym paralełę pomiędzy tym, co przytrafiło się jemu, a historią żyjącej w VI w. p.n.e. Kisy Gotami, jednej z najbardziej znanych wyznawczyń Buddy. Kiedy Kisie umiera nowo narodzony syn, ona sama gwałtownie osuwa się na granicę szaleństwa. To wtedy pojawia się Budda i odkrywa przed rozpaczającą kobietą prostą prawdę o życiu i o naszej w nim kruchości. Być może da się w niej znaleźć jakiś rodzaj gorzkiego pocieszenia. Być może.

Pieśń zmierza ku ostateczności. Słuchając opowieści o Kisie, tak naprawdę przykładamy ucho do serca samego Cave'a, a kiedy ten zaczyna ten swój niby-kobiecy lament, to ja się dziwię, że nie pęka mu wtedy serce.

Hollywood

ognie głęboko w noc
chłopiec z nietoperzą twarzą to pojawia się w oknie
to znika w światłach samochodu
jestem w połowie drogi do plaży
zostawiam cię w tęsknocie jak ducha
cud i zawrodozenie są takie nierealne
zasklepiają nas w naszych ranach

jestem już prawie w Malibu
tam basen w kształcie łyżki i pistolet
bo ponoć w okolicy grasuje puma
żywiąca się potwornym gniewem serca
ponoć jest biała (co czyni ją unikatową) i obolała
krąży wokół, wietrząc zwierzynę
tylko w nocy składa swoje drżące ciało na moim ramieniu

a ja czekam, wciąż czekam na swój czas
na swoje miejsce w blasku słońca
na spokój własnego serca: niech przyjdą

i tak czekam aż przyjdzie na mnie czas
na kryjówkę w ranach, na drogę do Malibu
wiem, że w końcu przyjdzie na mnie czas
i ciągle idę w kierunku plaży
a potem puszczam się biegiem
zostawiam cię śniącą o ranach i duchach
to twoje sny sprawiają, że wszystko ma jeszcze jakiś sens
układam je tuż pod swoim sercem
i idę, biegnę, sam już nie wiem gdzie

nagle jestem na brzegu
wokół mnie zwierzęta, których nazw nie pamiętam
stoje, a wszyscy wokół biegną
dzieciak upuszcza wiaderko i łopatkę
i rozpoczyna wędrówkę do słońca

Kisa miała dziecko, ale dziecko zmarło
teraz chodzi od drzwi do drzwi: „Moje dziecko jest chore”
ludzie potrząsają głowami: „Lepiej pochowaj je w lesie”
(długo, tak długo trwa, żeby odnaleźć spokój)
Kisa do Buddy: „Moje dziecko jest chore”
„Nie płacz”, mówi Budda, „idź do każdego domu
i przynieś jedno ziarno gorczycy
ale tylko z tego domu, w którym nikt nie umarł”
Kisa chodzi od domu do domu: „Mojemu dziecku się
pogarsza”

ale nie ueziera ani jednego ziarenka
bo każdy dom odwiedziła już śmierć
Kisa siada na starym rynku
bierze w ramiona swoje dziecko i płacze, płacze
już wie, że każdy kiedyś kogoś traci
i idzie do lasu

każdy kogoś traci
każdy kogoś kiedyś traci
i tak długo, długo trwa
żeby odnaleźć spokój
a ja wciąż czekam, aż przyjdzie na mnie czas
czekam na spokój własnego serca
aż przyjdzie

Hollywood

The fires continued through the night
The kid with a bat face appeared at the window then disap-
peared into the headlights
I was halfway to the Pacific Coast
I had left you in your longing and your yearning like a ghost
There's little room for wonder now, and little room for
wildness too
We crawl into our wounds, I'm nearly all the way to Malibu
I'm gonna buy me a house up in the hills
With a tear-shaped pool and a gun that kills
Cause they say there is a cougar that roams these parts
With a terrible engine of wrath for a heart
That she is white and rare and full of all kinds of harm
And stalks the perimeter all day long
But at night lays trembling in my arms

And I'm just waiting now, for my time to come
And I'm just waiting now, for my place in the sun

And I'm just waiting now, for my time to come
And we hide in our wounds and I'm nearly all the way to
Malibu

And I know my time will come one day soon
I'm waiting for peace to come
And I'm nearly all the way to Malibu
Oh babe we're on the run, we're on the run, we're on the
run

Halfway down the Pacific Coast
Well I left you sleeping like a ghost in your wounds
Darling your dreams are your greatest part
I carry them with me in my heart
Darling your dreams are your greatest part
I carry them with me in my heart
Somewhere, don't know

Now I'm standing on the shore
All the animals roam the beaches
Sea creatures rise out of the sea

And I'm standing on the shore
Everyone begins to run
The kid drops his bucket and spade
And climbs into the sun

Kisa had a baby, but the baby died
Goes to the villagers, says „My baby's sick!”
Villagers shake their heads and say to her
„Better bury your baby in the forest quick”
(It's a long way to find peace of mind, peace of mind)
Kisa went to the mountain and asked the Buddha
„My baby's sick!” Buddha said, „Don't cry”
„Go to each house and collect a mustard seed
But only from a house where no one's died”
Kisa went to each house in the village
„My baby's getting sicker”, poor Kisa cried
But Kisa never collected one mustard seed
Because every house, someone had died
Kisa sat down in the old village square
She hugged her baby and cried and cried
She said everybody is always losing somebody
Then walked into the forest and buried her child

Everybody's losing someone
It's a long way to find peace of mind, peace of mind
And I'm just waiting now, for my time to come
And I'm just waiting now, for peace to come
For peace to come



SORRY BOYS



ŽABSON



KĘKĘ

DARIA ZAWIAŁOW

fot. Katarzyna Mach



PODSUMOWANIE
MUZYCZNE

2019



Michał Mościcki



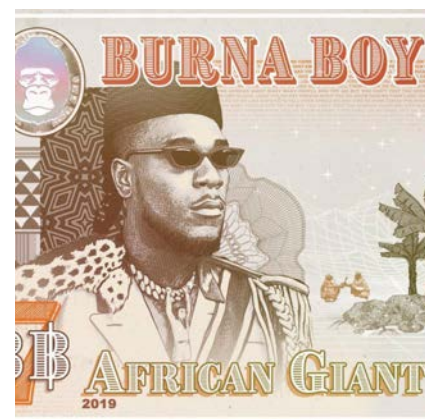
JAD *Strach*

Pierwszy oficjalny materiał wydany przez JAD niesie nadzieję, że punk może mieć jeszcze sens. Z tą nadzieją to oczywiście przesada, bo trudno o bardziej nihilistyczny przekaz niż ten serwowany na *Strachu*. Ale to właśnie bezkompromisowe teksty powodują, że całość działa jak terapia szokowa lub po prostu wymierzanie kolejnych policzków społeczeństwu nasyconemu i przepelnionemu bełkotem o „zdobywaniu szczytów” i „odnajdywaniu siebie”. Dostajemy niespełna 14-minutową esencję punka. Proste rify, nieskomplikowany bas i surowe bębny. Do tego wokal, który w rodzimym języku przekazuje treści dosadnie i zrozumiale, co nad Wisłą nie jest jednak regułą. Nadchodzą ciężkie czasy, ale spokojnie: „czeka na nas tylko piach”.



LITTLE SIMZ *Grey Area*

Na łamach MIC-a wróżyliśmy onegdaj karierę pani Simbiatu Ajikawo – i stało się! *Grey Area* to album kompletny, pełny kipiącego energią rapu. Little Simz, poza świetnymi tekstami i świeżością, ma jeszcze coś, czego inni mogą jej zazdrościć: flow. Lekkość i polot, z jakim porusza się po beatach, sprawia wrażenie, jakby niezobowiązująco freestylowała. To jednak nie są jedynie czcze przechwałki, ale numery wypełnione treścią i celnymi diagnozami, obserwacjami i refleksją, bez patosu, „po hiphopowemu”. Goście nie służą podbijaniu „klików”, a doskonale uzupełniają obraz całości, czyli tak jak z featuringami być powinno. „I’m a boss in a fucking dress” – nawija Simz. Objawiła nam się szefowa!



BURNA BOY *African Giant*

Czego na tej płycie nie ma! Zawodzące wokale, autotune, połamane i zarazem nieco wygładzone afrykańskie rytmy, rapowanie i śpiewanie. Całość brzmi, jakby do wirówki wrzucić afrobeat, nowy rap, dancehall i słodkie R&B lat dziewięćdziesiątych. Dobór gości może być zresztą świetną podpowiedzią i wskazaniem osi, wokół której „afrykański gigant” się porusza. Mamy tu Damiana Marleya i cesarżową afrykańskiej muzyki – Angélique Kidjo, jest Jorja Smith i „leci nowy Future” także. Misją Burny Boya jest uświadomienie wszystkim, którzy spoglądają na muzykę z amerykańskiej i europejskiej perspektywy, że wspomniane wyżej gatunki swe korzenie mają w muzyce afrykańskiej. To banał, ale widocznie granice w świecie muzycznym tak się pozacierały, że zasadne okazało się przypomnienie o tym. *African Giant* to album mimo wszystko luźny, który powinien słuchaczowi sprawiać frajdę, jeśli tylko mu na to pozwoli.



REFUSED

War music

Muzyczne powroty bywają trudne. Najczęściej to po prostu brutalne zderzenie z oczekiwaniami słuchaczy. Minęło ponad dwadzieścia lat od wydania *The Shape of Punk To Come*, czyli ważnej dla hardcore punka pozycji, po której ukazaniu się szwedzki zespół postanowił zamilknąć na kilkanaście lat. Wracali kilkakrotnie z różnym skutkiem, ale zdaje się, że w końcu światło dzienne ujrzało dzieło, które z powodzeniem nawiązuje do czasów niesłusznie minionych. Prochu nikt tu nie wymyślił, co najwyżej załadował go do „bomby domowej roboty” i postanowił zdetonować pod jakimś parlamentem bądź galerią handlową. Bo jeśli o treść idzie, to nadal to samo Refused. Czyli szeroko rozumiana krytyka systemu, w którym żyć nam przyszło, z tym że z każdym dniem 2020 roku te słowa brzmią coraz bardziej proroczo, co akurat optymizmem nie napawa. *War music* pozwala nam z „przewidywalnie” uczynić komplement, bo

tak zaiste jest. Mocne riffy, solidna porcja krzyku, ale całość wyprodukowana „po szwedzku”, czyli brzmi jak należy i oddaje emocje, które się zdecydowanie udzielają. Jak z tytułu płyty rodzimego Gówna: *To nie jest k...a Pink Floyd*. I bardzo dobrze.



DURAND JONES & THE INDICATIONS

American Love Call

Wiele razy na łamach naszego szacownego magazynu wybrzmiewały pochwały dla udanych prób ożywienia lub bardziej utrzymania przy życiu soulu w jego klasycznym rozumieniu: smyczki, sekcja dęta, chórki i treści „okołomiotne” przeplatane z tymi społecznie zaangażowanymi, tak aby Al Green czy Otis Redding, słysząc je, pokiwali głowami z aprobatą. Durand Jones z załogą zaliczają się do tego grona w sposób zupełnie naturalny. Nie jest to jednak cepeliada i kolejna kalka, o czym można się przekonać, odpalając *American Love Call*. Panowie żyją brzmieniami lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych,

a wszystko, co przedstawiają, brzmi niezwykle autentycznie. Piękne falsety perkusisty, które doskonale uzupełniają wokół Duranda, przywołują na myśl najlepsze lata amerykańskiego popu, a nieco szorstka sekcja dęta jeszcze te harmonie uwypukla. Szczęśliwie to dość spokojna płyta, a przecież równowagi nam również potrzeba. Wdech, wydech. Start.



DOBRE, BO POLSKIE

JWP CREW

Tu uznanie wędruje do drużyny JWP, która na polskim rapie zęby zjadła i chleb z niejednego pieca także. Panowie rok 2019 muszą zaliczyć do najbardziej udanych, a z pewnością najbardziej płodnych. Ukazały się bowiem aż trzy albumy, w które członkowie ekipy byli zaangażowani, i choć każdy z nich jest zupełnie inny, to na każdym widnieje znak jakości JWP, co w tym przypadku oznacza luźne flow, świetne bity i ogólną świeżość. ERO/KOSI i ich *BlackBook* to hołd oddany graffiti i wszystkiemu, co z farbą związane, solowy album

ERO *Elwis Picasso* w końcu uświadomił niedowiarkom, że ów koleżka świetnie radzi sobie na bitach sam, wiedząc, co i jak chce przekazać. Z kolei JETLAGZ (czyli Kosi i Łajzol) to zwrot w stronę nowych brzmień i rozwiązań w rapie, ale z zachowaniem pełni „trueschoolu”, w dobrym tego słowa znaczeniu. Panowie wykonalni 300% normy. Jaśnie Wielmożni Panowie, ma się rozumieć.



DEBIUT ROKU

KOFFEE *Rapture*

Historia, jakich dziś wiele: dziewczyna nagrywa piosenkę, którą sama napisała, wrzuca na Insta, ta staje się wiralem i krąży po świecie. Coraz częściej właśnie tak zaczynają się poważne kariery. Z małym zastrzeżeniem: rzadko takie historie dotyczą obywateli krajów mniej zamożnych, takich jak choćby Jamajka. Stąd sukces młodziutkiej Koffee wydaje się jeszcze większy. Trafiła pod skrzydła legendy, Cocoa Tea, wsparł ją również Protoje, a kolejnym krokiem było

złożenie podpisu pod kontraktem z Columbia Records UK. Potem już festiwale i w końcu epka *Rapture*. To powrót do czasów, w których dancehall i raggamuffin nie były unurzane w seksistowskim, pełnym przemocy i narkotyków sosie, a stanowiły przełożenie języka rasta na nieco bardziej nowoczesne brzmienia. Taką Koffee poznał świat. Reprezentantka nowego pokolenia mówi o rzeczach ważnych i mądrych swoim własnym językiem, z młodzieńczą swadą i luzem. Czekamy na rozwój wypadków, póki co wznosimy *Toast* za pozytywny przekaz.



ŻENUA ROKU

PLUSZOWI **SŁUDZY SZATANA**

Ostatnimi czasy trudno oprzeć się wrażeniu, że twórcy reklam i wszelkiej maści copywriterzy to ludzie o specyficznej konstrukcji psychicznej i wyobraźni, która prowadzi w nieznaną przeciętnemu obywatelowi rejony. Wiadomo,

trzeba wspiąć się na wyżyny kreatywności, aby wyprodukować coś, czego jeszcze nie było, odróżnić się i w konsekwencji sprzedać produkt. Wszystko jest jasne i zrozumiałe, ale jaki trzeba mieć lot bądź z którym demonem podpisać pakt, aby *Noc komety* Budki Suflera (skądinąd jeden z ich lepszych numerów) przerobić na przyspiewkę wskazującą kierunek zakupów i wsadzić to wszystko w usta animowanych chomików z głosami à la Chip i Dale? Do tego zapętlić to po stokroć w radiu, telewizorze i internetach. Tuż przed świętami. A może wszyscy byliśmy niegrzeczni i oto nasza kara? „Inni szatani byli tam czynni”, powiadam Wam.

Rafał Czarnecki



ANGEL OLSEN

All Mirrors

32-letnia Amerykanka nie osiada na laurach i swą czwartą w dorobku płytą znowu zaskakuje, ponownie dokonując stylistycznej wolty. Początki jej kariery to folk wyłącznie

w towarzystwie gitary akustycznej, na następnych płytach pojawił się już większy zestaw instrumentów, a swoje najnowsze dziecko stworzyła, w umiejętny sposób łącząc smyki i brzmienie syntezatorów. Artystka buduje przy ich pomocy niezwykłą dramaturgię i brzmienie samej płyty, co jej wokół w umiejętny sposób podkreśla. W muzyce Olsen urzeka najbardziej fakt, że udaje się jej łączyć popowy piosenkowy sznyt, pozwalając cały czas trzymać album w szufladce z napisem „alternatywa”. Nie wiem, czy jej imię i nazwisko będzie zdobić największą czcionką plakaty letnich festiwali muzycznych. Ale wiem, że ten album po prostu trzeba znać.



MARIKA HACKMAN

Any Human Friend

Bez zbędnych ceregieli napiszę, że tak indiepopowego lub po prostu popowego albumu po Marice Hackman się nie spodziewałem. Nie wiem, czy to zasługa współproducenta

David Wrencha (Frank Ocean, The XX, Let's Eat Grandma), czy może artystka sama stwierdziła, że pójdzie tą bardziej jasną i przystępną stroną muzycznego świata, ale decyzja była nad wyraz słuszna, gdyż tych piosenek słuca się z dużą przyjemnością. Fajnie zaaranżowane i dobrze wyprodukowane, w tekstach jest trochę o nieudanych związkach i próbie radzenia sobie z zastaną rzeczywistością, ale w charakterystyczny dla Hackman sposób, czasem nawet może zbyt dosłownie, ale to już sprawdźcie i oceńcie sami. Ja z pewnością polecam.



ALFA MIST

Structuralism

Pochodzący ze wschodniego Londynu Alfa Mist swą karierę rozpoczął jako producent hiphopowy, by z czasem przerodzić się w pianistę jazzowego (samouka). Można powiedzieć, że należy do jazzowej brytyjskiej nowej fali, na którą z dużą ciekawością spogląda cały świat, ceniąc za umiejętność łączenia gatunków z jednoczesnym czerpaniem

w świadomy i wyważony sposób z tradycji. I taki też jest najnowszy album londyńczyka: jazz jest tu zawsze punktem wyjścia, raz łącząc się z alternatywnym hip-hopem, by w innym utworze podążyć na spotkanie z soulem. Także rytmicznie te utwory są bardzo zróżnicowane, kiedy trzeba – powolne i melancholijne, a innym razem wręcz transowe. Wszystko to podane jest z niespotykanym wdziękiem i smakiem. Naprawdę bardzo wielobarwny muzycznie album.



JORDAN RAKEI

Origin

Pochodzący z Nowej Zelandii, a mieszkający na stałe w Londynie Jordan Rakei mimo swego młodego wieku może już pochwalić się współpracą z takimi wykonawcami jak Disclosure czy Bonobo. A trzeba przyznać, że nosa do dobrych głosów, które wypełniają ich albumy, obaj artyści mają i tym razem również się nie pomylili. Gdyż na najnowszej płycie, którą wypełnia neosoul oraz nowoczesne R&B w połączeniu z ciepłym i przyjemnym głosem Jordana, wszystko

buja jak należy. To jest taki przyjemny album na lato (nie mylić z muzyką tła), który biegnie swoim tempem i sprawia masę przyjemności. Może tylko szkoda, że brak na tym krążku piosenki (*Mad World*), która pozwoliłaby dotrzeć mu do większego grona odbiorców. Ja w każdym razie rekomenduję, aby spędzić te 44 minuty z jego piosenkami.



FONTAINES D.C. *Dogreal*

Rock'n'roll umarł i póki co nie zanosi się, aby coś się mogło zmienić w tym temacie. Ale co jakiś czas pojawia się światełko w tunelu, czego przykładem jest właśnie płyta Irlandczyków z Dublina. Aby być bardziej precyzyjnym: mamy tu do czynienia z zimnofalowym post-punkiem, który raz przybiera swój bardziej chropowaty i zadziorny, a raz bardziej gładki i przystępny charakter. Niby prochu nie wymyślili, ale to są naprawdę dobrze napisane piosenki. Nad wszystkim unosi się duch The Clash, The Fall, a nawet bym zarykował, że i The Cure. Tekstowo

jest i publicystycznie (dostaje się konsumpcyjnemu społeczeństwu), ale też lirycznie (panorama Dublina). Dawno nie słuchało mi się z taką przyjemnością gitarowej muzyki.



DOBRE, BO POLSKIE **THE VERY POLISH CUT OUTS**

W tej kategorii trochę oszukuję, bo to wyróżnienie dla całego kolektywu za to, że wrócili, że wydają płyty i że grają imprezy. Dla mniej zaznajomionych z tematem The Very Polish Cut Outs to grupa osób, która polską muzykę z lat siedemdziesiątych i wczesnych osiemdziesiątych przekłada na współczesne czasy, przekształcając piosenki z tego okresu a to w stronę house'u, a to w modern disco. Wszystko to robią w bardzo przystępny dla słuchacza sposób, nie zaniżając przy tym tzw. artystycznych lotów. Na wydanej w tym roku epce *The Very Polish Cut Outs Sampler VOL.6* znalazły się przeróbki Anny Jantar, Kultu, Kontroli W. oraz Skaldów. I to właśnie tych ostatnich piosenka została moim prywatnym hitem wakacji. Chodziłem całe lato, nucąc „Tak dużo słońca w oczach, tak dużo

słońca masz. Że ciemność ustępuje, twą jasną widzę twarz”. Zaręczam: jak usłyszycie, będziecie nucić i wy.



DEBIUT ROKU **STELLA DONNELLY** *Beware of the Dogs*

Czyżby Courtney Barnett szykowała się całkiem konkretna konkurencja na rodzimym podwórku? Stella również pochodzi z antypodów i sama pisze swe piosenki, tylko środki wyrazu są trochę inne, gdyż muzykę, która zapełnia jej debiutancką płytę, można by określić ambitnym popem, przełamany indie i folkowymi naleciałościami. No i głos, którym operuje (zresztą bardzo sprawnie) jest o wiele słodszy i delikatniejszy. Ale nie dajcie się zwieść, to nie są w treści słodkie popowe piosenki, jak choćby *Boys Will Be Boys*, poruszające temat gwałtu i opisujące, w jaki sposób społeczeństwo naznacza ofiarę. Do tej beczki miodu dodam jednak łyżkę dziegciu: ta płyta może

momentami nużyć. Dlaczego więc ją tu umieściłem? Odpowiedź jest prosta: potencjał wydaje się naprawdę duży.



ŻENUA ROKU

MILEY CYRUS

Wrecking Ball

(Glastonbury 2019)

Lubię festiwal w Glastonbury i zawsze z zaciekawieniem oglądam występy różnych artystów. Nawet takich, co to nie leżą w moim kręgu zainteresowań. I tak właśnie trafiłem na wykon Miley Cyrus. Macie czasami tak, że oglądając jakiś film, wiecie, że zaraz wydarzy się coś tak zenującego, że mrużycie oczy, a w środku jakiś głos krzyczy „już wystarczy, przestań!”? Czego tam nie było: melancholijny wstęp, teatralne gesty, emocjonalne podziękowania publiczności, cyrkowa solówka gitarowa, podczas której artystka przeżywała chwile uniesienia. Przez moment nawet sprawdzałem, czy to aby nie występ dla Guns N’ Roses w Rock’n’Roll Hall Of Fame? Ale nie. Kiedy swego czasu Britney Spears wykonała *I Love Rock’n’Roll*, wszyscy pokpiwali, a z czasem okazało się, że dziewczyna wie, co śpiewa.

Może więc i tu jest podobnie, kto wie, ale poziom pompatyczności mnie pokonał.

Marek Szubryt

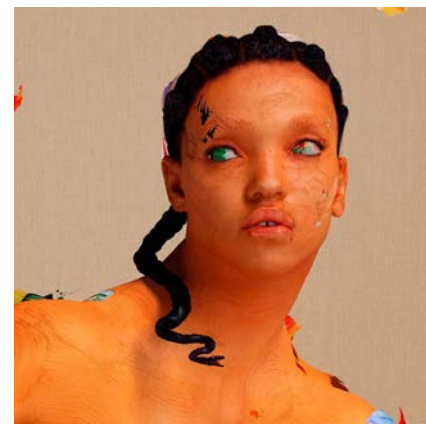


SARATHY KORWAR

More Arriving

Jeśli chcecie sobie wyobrazić, jak brzmi *More Arriving*, to odpowiedź brzmi: melanz brzmienia muzyki indyjskiej, jazzu połączonego gdzieś tam z wpływami rapu zarówno brytyjskiego, jak i, a może przede wszystkim, hinduskiego. Brzmi dziwne, może nawet ciężkostrawnie, ale bez obaw i po kolei. Skąd ta wielość gatunków? Powodem jest oczywiście Sarathy Korwar, urodzony w USA, z początku wychowany w Indiach, osiadły ostatecznie w Wielkiej Brytanii multiinstrumentalista. Jeśli od lat kilku jazz – nazwijmy to – euroatlantycki, spogląda w stronę korzeni, dając temu nurtowi kolejne życie, to *More Arriving* jest tego jednym z bardziej udanych przykładów. Na swoim drugim albumie Korwar, będący także znakomitym perkusistą,

łączy różne światy muzyczne, które w jego wydaniu wydają się wyjątkowo jednolite i spójne. Brzmienia i przede wszystkim rytmika hinduska, która dla europejskiego ucha potrafi być czymś kosmicznym, płynnie przechodzi w jazz lub rapowy groove. Do tego melodeklamacje albo nawijanie wychowanych zarówno w Mumbaju, New Delhi czy Londynie raperów. Koniecznie, jedna z najciekawszych płyt minionego roku.



FKA TWIGS

Magdalene

Po wydanym w 2014 roku debiutancim i bardzo udanym albumie *LPT* FKA Twigs zamilkła, ale warto było czekać kilka lat, bowiem wydany pod koniec 2019 roku album *Magdalene* to rzecz wyjątkowo udana. Jeśli wsłuchać się w teksty, jasny staje się także powód przerwy i choć do wesołych on nie należy, ma się ochotę płytę słuchać wielokrotnie. Na drugim albumie Brytyjka odchodzi od tego, na czym zasadzała się debiutancka płyta, czyli – jak mawiali

złośliwi – progresywnego R'n'B, ale nie powinno być to żadnym zarzutem. Różny jest sposób śpiewania i brzmienie kompozycji, które nie są już naznaczone wspomnianym wcześniej trzyliterowym stylem, ale myli się ten, kto uważa, że będziemy mieć tu do czynienia z płytą uproszczoną czy uśrednioną. Artystka zaprosiła na *Magdalene* znakomitych gości, którzy wspomagają ją w sferze muzycznej, by wymienić tylko Nicolasa Jaara, Skrillexa czy Daniela Lopatina, a całość brzmi tak, jakby Madonnę z okrasów świetności zmiksować z Björk, dorzucić do tego szczytki trip-hopu i podlać tu i ówdzie kwasem.

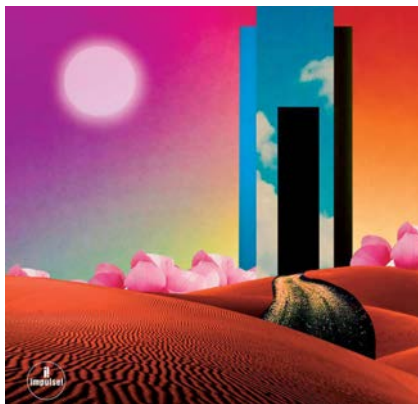


JAWVA

Balance Of Decay

Jedna z lepszych polskich płyt mijającego roku, na której granie zwane gitarowym łączy się z brzmieniem północy Afryki. W skrócie: rytm, riff, groove i melodia, a do tego odważna produkcja oraz świetna okładka. Na *Balance of Decay*, płycie stworzonej przez wyjadaczy tzw. polskiej sceny

alternatywnej, królują specyficzny rytm i meandrujące melodie, które razem tworzą mieszankę klasycznej, nazwijmy to, zachodniej postrockowej muzyki gitarowej, z afrobeatem i tzw. muzyką pustyni znaną spod znaku np. Tinariwen, Bassekou Kouyate czy Ali Farka Touré. Rytm tak odległy od sztafpowego rockowego grania czy, z drugiej strony, charakterystycznego dla zachodniego słuchacza mathrockowego przekładańca, który w ekwilibrystyczny i policzony sposób z rozmysłem gmatwa, jest tutaj kluczowy. I nie chodzi tylko o rolę perkusisty, choć oczywiście ukłony Bartkowi Kapsie się należą, ale o cały zespół, bo to partie wszystkich instrumentów podążają euforycznie za rytmem, a nie odwrotnie.



THE COMET IS COMING

Trust In The Lifeforce Of The Deep Mystery

Choć w minionym roku zespół wydał dwa albumy, z racji podsumowania

– w tytule pierwszy z nich. Ale słuchajcie *The Comet Is Coming* z każdej płyty, bo znajdziecie tam znakomite połączenie jazzu, elektroniki, psychodelii i jeszcze kilku innych gatunków muzycznych. Przestrzenne granie, które prowadzi saksofon Shabaki Hutchingsa, znanego chociażby z obsypanego w zeszłym roku *Sons of Kemet*, to znak firmowy zespołu, składającego się tylko (lub aż) z trzech muzyków. Ten isticie punkowy skład, podpięty do masy efektów, przekłada się na podejście do jazzu, który w przypadku *The Comet Is Coming* jest tylko punktem wyjścia, a dla opisujących ich muzykę – terminem ułatwiającym skatalogowanie. Okazuje się, że saksofon, perkusja i klawisze mogą zrobić sporo zamieszania, zarówno dźwiękowo, jak i stylistycznie.



BABADAG

Šulinys

Dowodzona przez Olę Bilińską grupa BABADAG porusza się po rejonach na co dzień rzadko dostępnych,

egzotycznych i pozornie do siebie nieprzystających, łącząc odległe tradycje ze współczesnością. Na pierwszy plan wychodzą oczywiście charakterystyczne partie wokalne śpiewane po litewsku: do pracy nad płytą zaproszone zostały siostry Kriščiūnaitė: Lauksmina, Raminta i Dominyka, wokalistki związane z litewską sceną muzyki tradycyjnej, które na *Šulinys* odpowiadają przede wszystkim za sutartinės, stare litewskie ludowe pieśni śpiewane kanonem. I to właśnie przeplatanie się litewskich, polskich i czasem także angielskich partii wokalnych jest pierwszym, bardzo charakterystycznym elementem płyty. Brzmień na *Šulinys* jest zresztą całe mnóstwo, a opierając się na polskim znaczeniu tytułu albumu, śmiało można powiedzieć, że mamy tu do czynienia ze studnią bez dna: od otwierającego *Sycamore Tree* począwszy, uderzającego charakterystycznym, ostrym gitarowym riffem i wokalami oraz perkusjonaliami przywodzącymi na myśl chorały, czy, ogólnie rzecz ujmując, muzykę średniowieczną, przez transowy i melodyjny jednocześnie *Aitwar*, po śpiewaną a cappella na cztery głosy i dwa języki *Ej Toli Toli / So Far Away*.



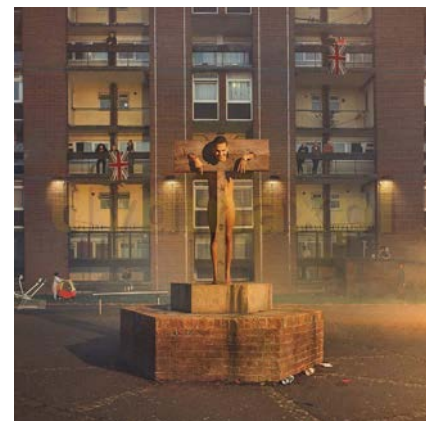
DOBRE, BO POLSKIE

EABS

Slavic Spirits

To musi być już trochę męczące, zewsząd słyszeć tylko ochy i achy, pozytywne albo wręcz bardzo dobre recenzje. A może to się nigdy nie nudzi, w dodatku kiedy dodamy do tego coraz większą frekwencję na koncertach, powoli można zacząć posądzać EABS o podpisanie jakiegoś cyrografu. Tak czy inaczej po tym, jak z buta, ale tylnymi drzwiami weszli na scenę jazzową w Polsce, nagrali jeden z najlepszych tribute'ów Komedy z utworami mniej lub w ogóle nieznanymi, pokusili się o w pełni autorski materiał, który przygląda się naszym korzeniom. Można powiedzieć, że septet bawi się w jakże słowiański gdybizm: czym są nasze „mityczna” melancholia i słowiańskość, jak mogłyby brzmieć polska szkoła jazzu i muzyka w ogóle, gdyby historia i kultura w tym kraju poszły inną drogą. Mamy tu do czynienia z szukaniem korzeni, co w światowym jazzie ostatnich lat jest bardzo popularne,

są groove i przeplatanie melodii w poprzek, jest wreszcie dynamika oraz brawurowy wręcz pokaz narastania i surfowania na wysokim C tak długo, jak to tylko możliwe.



DEBIUT ROKU

SLOWTHAI

Nothing Great About Britain

Jeśli Wielka Brytania, będąca przez długie lata imperium, od połowy zeszłego wieku powoli traci na znaczeniu, ostatnie turbulencje polityczne tylko to zjawisko uwypuklają. Dlaczego piszę o tym w recenzji płyty? Bo może krajem pochodzenia Slowthaia targają turbulencje, ale muzycznie nadal jest potęgą, tu się nic nie zmieniło in minus, a *Nothing Great About Britain* i jej autor są tego jednym z najznakomitszych przykładów. Choć tematycznie rzecz raczej mówi o problemach kraju, o nierównościach społecznych, o polityce i – jak przystało na młodego, zbuntowanego, uprawiającego rap człowieka – delikatnie nie jest. Na myśl przychodzi od razu Sleaford Mods,

ale jak to w przypadku młodzieży bywa, zamiast do punku czy w sferze elektroniki do synth-electro, więcej tutaj odwołań do, a jakże, grime'u. Jeśli tak ma wyglądać debiut 24-letniego Tyrona Kaymone'a Framptona, który oprócz pseudonimu Slowthai określany jest także Brexit Bandit, aż strach się bać, co będzie później. Ale z chęcią się przekonam.



ŻENUA ROKU

MISJA BARDZO SPECJALNA

Pisanie o Telewizji Polskiej można odebrać jako pójście na łatwiznę, bo przecież wystarczy tylko włączyć telewizor i już temat do jakże zacnej rubryki gotowy, ale cóż ja poradzę... (o samych wiadomościach już nawet nie wspominając, to osobna liga, poza tym my tu o kulturze i muzyce). Tym razem jednak chciałbym wspomnieć o postawieniu przez TVP akcentów czy, będąc bardziej precyzyjnym, doborze repertuarowym. Wydawałoby się, że przecież nie

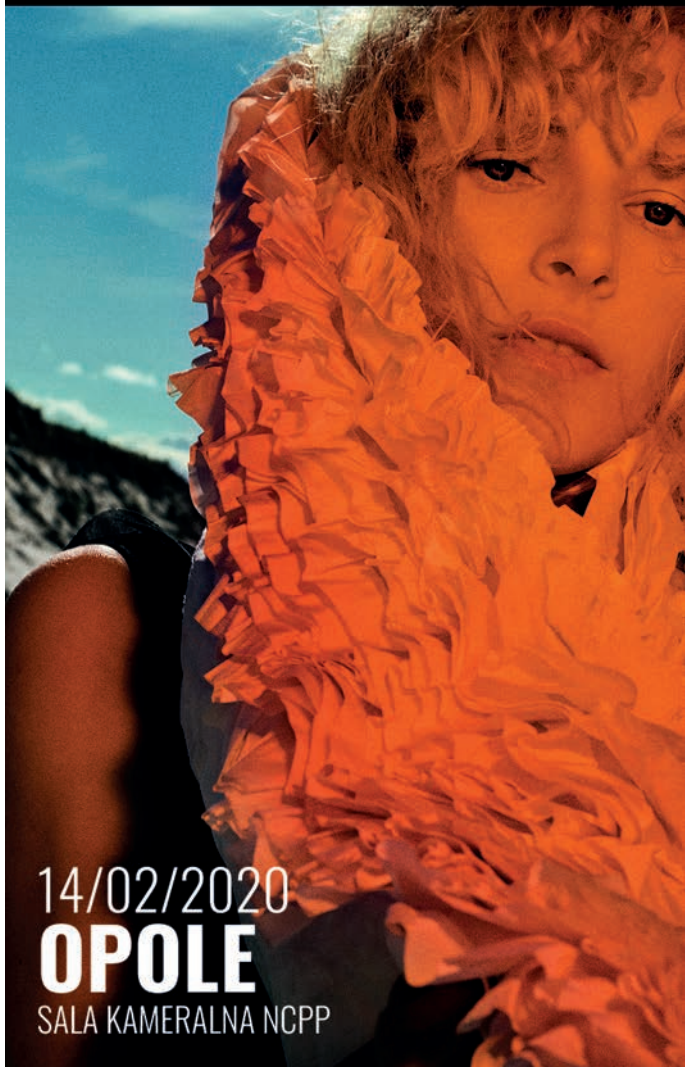
prywatna, lecz publiczna telewizja ma wobec podatników misję, ale jak się okazuje, wszystko podlega interpretacji, bo oto np. wykład noblowski Olgi Tokarczuk nie zastąpił na transmisję, a informacja o tym, że Polska dostała literackiego Nobla, przez wiele godzin nie gościła na paskach serwisów informacyjnych. Za to podwoje imprez TVP dla Zenka Martyniuka i innych wykonawców disco polo, by wspomnieć tylko sylwestra czy huczny benefis), otwarte są szeroko i o każdej porze. Cóż, nie wiem, jaki to rodzaj misji, ale jakiś przymiotnik by się przydał. Ogłaszam konkurs.

koncert «
KALI

drogą KOGUTA TOUR

15/02/20
→ OPOLE **NCPP** «
Sala Kameralna

MELA KOTELUK



14/02/2020

OPOLE

SALA KAMERALNA NCPP

EABS

ELECTRO-ACOUSTIC
BEAT SESSIONS

OPOLE / SALA KAMERALNA

22.02.2020



numer #21

Redakcja:

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki
ul. Piastowska 14a, 45-082 Opole

Opracowanie, redakcja treści:

Marek Szubryt, m.szubryt@ncpp.opole.pl

Zespół redakcyjny:

Marek Szubryt, Rafał Czarnecki, Michał Mościcki

Okładka, skład, opracowanie graficzne:

Kamil Pieśniewski, grafika@ncpp.opole.pl

Współpraca:

Sławomir Kuźnicki

Korekta:

Krzysztof Szymczyk, korektor@pressmedia.pl

Nakład:

1200 egzemplarzy

Wydawca:

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki
ul. Piastowska 14a, 45-082 Opole, biuro@ncpp.opole.pl

ISSN 2299-6273

„Muzyczny Informator Culturalny”

MAGAZYN BEZPŁATNY

MiC
MUZYCZNY INFORMATOR CULTURALNY



Narodowe
Centrum
Polskiej
Piosenki



KONCERT

06.03.2020

OPOLE

SALA KAMERALNA NCPP

SZUKAJ NAS W SIECI



REPERTUAR

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI

08.02 + PIERNIKOWSKI

14.02 + MELA KOTELUK

15.02 + KALI

22.02 + EABS

23.02 + DZIECIĘCE ENCEPENEC
CZERESNIE

28.02 + LAO CHE

05.03 + STARTUP MIXER VOL.40

06.03 + KARAŚ / ROGUCKI

07.03 + KWIAT JABŁONI

08.03 + O.S.T.R.

10.03 + METRONOM

13.03 + ŁYDKA GRUBASA

17.03 + TO MAŁO POWIEDZIANE

18.03 + ROCK-TIME 2020

21.03 + MIUOSH

24.03 + SPUTNIK

27.03 + HAPPYSAD

28.03 + JAN RAPOWANIE

31.03-02.04 + OPOLSKI FESTIWAL PODRÓŻNICZY

05.04 + DZIECIĘCE ENCEPENEC
BUDYN JULKA TUWIMA

17.04 + JULIA MARCELL

18.04 + ŁĄKI ŁAN

24.04 + AGNIESZKA CHYLIŃSKA
25 LAT NA SCENIE

30.04 + SZPAKU

02.05 + OIPOLSKIE WESELE

07.05 + STARTUP MIXER VOL. 41

08.05 + POLSKA NOC KABARETOWA

10.05 + METRO

16.05 + DNI OPOLA

WWW.NCPP.OPOLE.PL

SZUKAJ NAS W SIECI

